



Studia
Filmoznawcze
40
Wrocław 2019

ŚWIĘCI W CZASIE NIEŚWIĘTYM

DOI: 10.19195/0860-116X.40.1

W potocznej polszczyźnie przyjęło się porzekadło „Przecież nie jestem święty”. Myślę, że można określić je jako „kacerskie”, czyli heretyckie. Któż ma prawo wykluczać się świadomie z wysiłku w celu zbawienia? Jeśli mówisz, że „nie jesteś święty”, to zapytaj siebie od razu: a dlaczego? W chrześcijańskim rozumieniu do zbawienia powołani są wszyscy (choć pewien niepokój budzi ewangeliczne napomnienie, że to niektórych tylko Bóg sobie szczególnie upodobał).

Filmy o świętych tworzą jakby osobny gatunek, co powinno nas niepokoić, bo ta osobność wyklucza je z głównego nurtu sztuki i najczęściej odwzorowuje dziewiętnastowieczne przekonanie, że święci to ludzie ulepieni z innej, lepszej gliny, ludzie (czy wręcz „nadludzie”) w niczym do nas, widzów, niepodobni. W dziewiętnastowiecznej hagiografii święci byli najczęściej ludźmi bez skazy, jeśli grzeszyli, to tylko zanim doznali nawrócenia. Nic dziwnego, że taki obraz świętości nie trafia we wrażliwość współczesnego człowieka i nie inspiruje artystów z prawdziwego zdarzenia. Nie inspiruje, jest bowiem przewidywalny, a więc nie dramatyczny. Ale też postacie wielkiego formatu z utworów narracyjnych, tytani ducha od Cyda przez Romea i Julię, Gustawa Konrada czy niektóre postacie z powieści Dostojewskiego, na przykład Księżę Myszkina, to w moich oczach realni kandydaci do świętości, choć uwikłani w występkę i błąd.

Jestem autorem trzech filmów o świętych, choć nakręciłem tylko dwa — o Kolbem i Chmielowskim, trzeci z moich bohaterów Wojtyła został wyniesiony na ołtarze długo po kinowej premierze, a do tego sam był autorem sztuki o Chmielowskim, gdy ten jeszcze nie był nawet błogosławionym. Zastanawiam się, jak zestawić te moje filmowe biografie osób realnych z fikcją, jaką były *Iluminacja* czy *Constans*. Czy ich bohaterowie nie mieli zadatków świętości? A młody Ukrainiec z *Eteru*, który chce poświęcić życie za swojego dobroczyńcę, czy nie powinien zostać wyniesiony na ołtarze, gdyby zaistniał rzeczywiście. Natychmiast stają mi przed oczami

filmy Ermanna Olmiego z jego grzesznymi a zarazem świętymi postaciami, których losy kształtowała wyobraźnia, nie zaś konkretne biografie.

Przy okazji wydania tego tomu chciałbym się podzielić bardzo osobistą refleksją. Otóż wydaje mi się, że świętość jako wyraz usilnego dążenia do doskonałości, ideału, pełni, że ta prawdziwa świętość jest w kolizji z dzisiejszą kulturą, ponieważ narusza poczucie demokracji i egalitaryzmu. Obowiązująca praktyka, zwana eufemistycznie polityczną poprawnością, a wyrosła z postmodernizmu, zakazuje porównań i ocen, przywołuje do tego determinizm, tłumaczy postępkę człowieka koniecznością i uwarunkowaniem, a więc zaprzecza wolnej woli i odpowiedzialności za dokonywane wybory. Tak jest widziany chociażby bohater kultury masowej, nawet nie bohater i nie antybohater, raczej człowiek bez właściwości, z którym widz może łatwo się utożsamiać. Święty nie pozwala na utożsamienie, bo jest od swego widza nieporównanie lepszy, a więc święty w sztuce narracyjnej jest postacią w istocie niepożądaną, bo jego istnienie uwiera, kłopotczy, jest wyrzutem, zobowiązuje, a więc narusza komfort i wygodę odbiorcy.

Razem ze świętym z kultury powszechnej znikli bohaterowie romantyczni, postaci z utworów Corneille'a i Schillera, Kleista czy Victora Hugo. Tak zwane krytyczne lektury polegają na tym, by odsłaniać zakłamanie za fasadą cnoty, naiwność, która rodzi idealizm, śmieszność i głupotę, udające wzniosłość. Gdyby utwory poświęcone świętym miały miejsce w kulturze masowej, zapewne przyszlaby fala odbiorczych i demaskacji, filmów obnażających zakłamanie świętych i naiwność wyznawców, manipulacje mediów i banalność, która pozoruje wielkość ducha. Niewypowiedzianym aksjomatem jest dziś to, że wszyscy jesteśmy tacy sami, nikt nie jest lepszy czy gorszy i nie ma miejsca na żadne przejawy czyjejs świętości. W kulturze masowej tak rozumiana laickość jest tak mocno umocowana, że przykościelne filmy o świętych nie są jej zagrożeniem. Przekonywanie przekonanych jest zajęciem mało ambitnym, a nieprzekonani dysponują zespołem skutecznych przeciwciał i ze współczesną hagiografią po prostu nie kontaktują. Istniejąca od lat na rynku (głównie amerykańskim) niszowa kategoria *christian movies* ma niewiele wspólnego ze sztuką. Podobnie jak „kolosalne” widowiska na tematy biblijne produkowane w Hollywood czy we Włoszech.

Filmy, o których traktuje ta książka, są z założenia elitarne, gdyż w większości wychodzą z ofertą do nieprzekonanych i przynoszą zastanowienie, a nie gotową odpowiedź, wyrażając tym szerszą zasadę, że u każdego człowieka przeżycie świętości jest inne i każdy, kto ma dobrą wolę, musi odnaleźć własną drogę — niepolegającą na tym, by naśladować cudze rozwiązania, tylko czerpiąc z nich inspiracje, znajdować własną drogę wzrostu, czyli uprawiać postęp w sferze ducha, co jest zawsze drogą do świętości.

To, co piszę, zatrąca o patos, a to słowo oznacza także „żałość” (określenie „patetyczny” i „żałosny” możemy używać wymiennie). I w tym nastroju żałości poskarżę się, że w trakcie ostatnich lat próbowałem nakręcić jeszcze jeden film o świę-

tej, miała to być królowa (a właściwie król polski) Jadwiga Andegawenka. Był scenariusz, była już napięta międzynarodowa koprodukcja, ale projekt nie spodobał się siostron jadwiżankom i posypał się ku przestrodze tych, którzy by chcieli przenieść świętość w obszary głównego nurtu kultury.

Krzysztof Zanussi